



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Książki dla dzieci i młodzieży.

Od lat kilku zaznacza się u nas szczęśliwy postęp w bardzo ważnym dziale literatury: w książkach pisanych dla dzieci i młodocianego wieku. Znikają te rozmaite, lepsze i gorsze, przeróbki z wydawnictw zagranicznych, czynione głównie dla rycin, dających się nabyć tanio; tłumaczenia usuwają się na plan drugi przed książką oryginalną. Nie znaczy to, aby przekłady z dzieł wyborowych miały być wyrzucone; są rzeczy klasyczne i w tej dziedzinie piśmiennictwa, które w tłumaczeniach dobrych potrzeba posiadać tak naszej, jak każdej innej literaturze: ale karmić młode umysły samymi płodami obcej twórczości, więc myśli i fantazyi cudzej, było rzeczą wysoce szkodliwą, wynaradawiającą niejako umysły młode w chwili pierwszego ich rozkwitu. Pismo nasze podnosiło przeciw temu głos protestu uporczywego, bo powtarzającego się nieustannie przez lat wiele; Dr Chmielowski upominał się o to również u wydawców i publiczności, aż jakoś przyszły czas lepsze dla utworów oryginalnych, na czem czytająca młodzież nie straciła bynajmniej pod względem zajmującego czytania. Że nie mamy w dziele literatury dziecinnej takich talentów żywych i oryginalnych, jakim naprzykład dla Anglii jest pióro Meine-Reid'a, lub miss Montgomery, dla Francji Juliusza Verne i t. d., to rzecz niewątpliwa, ale posiadane przez nas siły literackie poczęły posiłkować się w bardzo szczęśliwy sposób, opracowując na użytek czytelników młodszych dzieła pisarzy tworzących w zakresie szerszym i odkryła się w ten sposób kopalnia bogata, z której obficie i pożytecznie czerpać możemy. W Anglii, mimo mnóstwa nowych, świeżo pisanych

dziełek dla dzieci, praktykuje się to oddawna, dla obznajomienia młodzi z literaturą ojczystą, dla wczesnego zaszczipiania gustu do tych pisarzy narodowych, których arcydzieła w niej przodują. Każda literatura dla młodzieży tak czynić powinna: i my właśnie wchodzimy szczęśliwie na tę drogę. *Przygody Jana Chryzostoma Paska*, według jego pamiętników, opowiedziane dla młodzieży, przez Jerzego Laskarysa, a wydane nakładem Gebethnera i Wolffa, należą do najlepszych, najtrafniej w tym pożądanym kierunku wybranych rzeczy. Jędrny, wyborowy język Paska, jego humor pyszny, udało się opowiadaczowi przenieść do dziełka swego, a rycerska fantazyja i dzielny animusz, tego towarzysza Chorągwi Panczernej, zdolne są w najwyższy sposób zająć i zachwycić młodego czytelnika, tak jak zajmują i zachwycają starszych. *Przygody jego*, przebyte na obczyźnie i w kraju, tak dla barwności swego kolorytu, dla różnorodności swojej, uderzać muszą wyobraźnią młodą, chłopców szczególnie, że chyba jeden Robinson Kruzoa wyższym tu być może. W dziełach Verne'a, nawet w dawniejszych, które są o wiele wyższe od dzisiejszych, czuć zawsze, że to bujanie w marzeniach; a tu jest taka dosadność, prawdę cechująca, takie przy prostocie swojej i dla tej prostoty właśnie malowanie rzeczy wyborne, że czytelnik już wytrawny oderwać się od książki nie może — a cóż dopiero młody, wrażliwy — gdy mu się przedstawiają obrazy takie, jak konne przebywanie w pławie odnogi morskiej, jak branie twierdz bez dział i machin oblężniczych. Skutki wrażenia o sto procent też podnosić musi wiedza, że to wszystko prawdą jest, a nie zmyśleniem, że tego dokonywał, nie jakiś olbrzym cudzoziemski, ale człowiek z takiej, jak nasza, krwi i kości, nasz ziomek, pan brat szlachcic z Ziemi Rawskiej.

Ośm ładnych chromolitografij i kilkanaście drzeworytów ilustrują tę książkę, o której powiedzieć można, że z bogactw literatury naszą dla młodzieży klejnotem pierwszej wody.

Także nakładem Gebethnera i Wolffa wyszła bardzo dobra, oryginalnie już pomyślana i napisana książka: *Z przeszłości*, powieści historyczne przez Teresę Jadwigę. Wydanie staranne zdobią drzeworyty Gersona; okładka jak rzadko gustowna, mile pociąga oko, a treść książki, z baczną uwagą na względy pedagogiczne pisana, daje młodym czytelnikom pięć powiastek przenoszących w czasy dawne, których starannie oddane malowidło obznajmia z ludźmi i duchem epoki. Trzymane w tonie i świetle właściwym, nazwane być mogą pięcioma lekcjami historii, podanymi w artystycznej formie powiastek. Pierwsza z nich: *Litwinka*, ma nawet za sobą pewien urok poezyi; a przedostatnia: *Rogalińscy*, budzi żywe zainteresowanie czytelnika. Charaktery rysowane są bardzo dobrze, język wszędzie piękny i poprawny; talent Teresy Jadwigi nadaje się ze wszech miar do tego rodzaju obrazków, które starannie i sumiennie opracowują.

Również na tle historycznym, choć o wiele bliższych czasów, rozsuwa się powieść, tomik cały obejmująca: *Bitwa pod Raszyńem* przez Walerego Przyborowskiego. Tu już sam tytuł w najsympatyczniejszy sposób do książki pociąga, bo wychyla się nam z niego postać bohatera świeżych stosunkowo czasów, żyjąca jeszcze w legendach ustnych, i o którym każdy wnuk starego żołnierza coś słyszał, a każde dziecko — przynajmniej na wsi wychowane — spotykało się z jego wizerunkiem, po dworach szlacheckich, po plebaniach ucziwych księży proboszczy, po zajazdach i austeryach małomiasteczkowych. Rycerska postać w kasku ullańskim, piękne oblicze i napis, spotykany na znacznej ich liczbie: „Bóg mi dał w ręce honor Polaków, i oddam go tylko Bogu!“ wszystko to czyni z księcia Józefa Poniatowskiego bohatera popularnego, pociągającego w stopniu bardzo wysokim wyobraźnię młodzieńczą. Przecież zaraz na wstępie książki uderza rzecz wysoce nieprawdopodobna, aby dziecko dziesięcioletnie mogło doko-

nać tego, co autor każe robić Jankowi, i należało mu dodać trzy, a choćby dwa, lata, aby rzecz nie grzeszyła przeciw prawdzie i naturze. Mógł sierota mimo to znajdować się gdzieś w pobliżu officerów niemieckich; mogła się znaleźć jaka boczna szyba wybita, przez którą można było coś usłyszeć, jakie drzwi od ogrodu, którymi wyrostek mógł się dostawać do izdebki swojej, a potem błądzić po opustoszożonym dworze: trochę wyobraźni poruszona, a rzecz byłaby się dała ułożyć. Niemiłą też jest w obrazowaniu swoim walka ze szczurami przy przebywaniu podziemia. To podziemie samo, noc, nieprzyjaciel w tyle, nieprzyjaciel na przodzie: dość już dostarczały efektownej grozy i barw czarnych tej chwili. Ale wielką już, pedagogiczną wadą książki jest zabicie rotmistrza von Lompe. Dziecko, choćby niedziesięcioletnie, zabijające człowieka i tak jeszcze z zimną krwią, bez odrobiny trwogi moralnej, wzruszenia doznanego potem to obraz równie wstrętny, jak nienaturalny pod względem niepodobieństwa fizycznego i psychologicznego stanu takiej młodzieńczej duszy. Gdyby to przynajmniej było w chwili akcji innej, przy jakiejś obronie rzeczy lub osoby najdroższej, gdyby naprzykład ktoś zamierzał się z tyłu na księcia Jozefa: wtedy rzecz przedstawiałaby się już inaczej zmysłowi moralnemu, który teraz wzdryga się na obraz dziesięcioletniego dziecka i krwi, tak jakoś zamasyście, mimochodem rozlanej, nawet bez potrzeby żadnej dla głównego ruchu książki. Jest to tylko poboczność w obrazie, która przecież szkodzi mu tylko, nawet pod względem estetycznym, bo sprawia wrażenie dziwnie niemiłe.

Mimoto książka, dla jej tła, dla obrazków, które występują to tu, to tam, może być zajmującym czytaniem, dla chłopców zwłaszcza. Uważać jej trzeba za zaletę, że wybrany przedmiot pozwala, aby koniec był szczęśliwym: był momentem tryumfu. I duchy potrzebują pokarmu, który podnosi zapał i fantazyę. Książka posiada blask chwili słonecznej i ogrzewa: więc ostatecznie jest dobrą książką dla młodego czytelnika.

(Dokończenie nastąpi)

PRZEKŁĘTY DWOREK

NOWEŁA

napisal

Bolesławicz.

(Dalszy ciąg).

Mówiła to z uśmiechem, wesoło i nawet trochę ironicznie, jak ktoś trzeźwy, żartujący z marzyciela, ale wzruszenie ogarniało ją coraz bardziej.

Uczuła to sama. Zaniepokoila się i chciała nagle położyć koniec temu nocnemu samnasam. — Odejdź pan — rzekła nagle... nierozważna.

— Odejdź pan — dodała żywiej — lecz Kazimierz nie odszedł właśnie, przeskoczył kwiaty i pochwycił obie jej ręce, okrywając je gorącymi pocałunkami.

— Przez Boga, co pan robisz? — zawołała — co czynisz?

— Czy ja wiem? tysiące słów tego nie wypowiedziałem tak długo, chciałem się zwyciężyć — ale nie mogę.

— Ach! — jęknęła kobieta. — Mamże żalować, żem poznała pana?

— O nie żałuj, nie żałuj, bo czyż to cię kazi, że ci składam hold taki — jak Bogu?!

— Nie bluźnij pan — rzekła, opierając głowę o framugę okna. Była wzruszona niezmiernie i potrzebowała oparcia. Pocałował ją ogarniając wielki żal, wielki smutek. Dlaczego ona pociągnęła do siebie tego człowieka, aby go zrobić nieszczęśliwym? Ta nawet dawna pewność siebie, że nigdy nie zestąpi do niego z piedestału swej godności, zabolala ją, jak wyrzut sumienia.

Mogła też była wyciągnąć do niego obie ręce i, wyznając się winną, prosić przebaczenia.

Ale nie uczyniła tego: czy siła, czy niemoc sprawiła to, i tylko oczy, które zapełniły się łzami, spojrzaly nań.

— Odejdź, odejdź! — zawołała.

Odejść w takiej chwili, w której chciałoby się pozostać nazawsze, było rzeczą zbyt trudną do wykonania: oczy Walentyny przynknięte nie patrzyły już przed siebie, gdy nagle uczuła na ustach pocałunek długi, gorący.

Gdy usta ich rozdzieliły się, ona raz jeszcze szepnęła:

— Odejdź!...

Teraz on już sam to czynił, uciekał od niej sam...

Kiedy już znikł na zakręcie drogi, Walentyna zakryła twarz rękami, aby ukryć rumieniec wstydu, czy też, aby zatrzymać obraz tej chwili.

Nie mogła sobie zdać sprawy z tego, co było dziełem jednego momentu. Pragnęła, aby to był sen, a bała się przebudzenia.

Raptowne otwarcie drzwi sprowadziło ją na ziemię. Odwróciła głowę, i... skamieniała z przerażenia. Przy drzwiach stał hrabia Leon, błądy jak marmur, z włosiem rozrzuconym. Drżał na całym ciele; gdy spojrzął na nią, łza błysnęła mu w oku, a twarz jego wyrażała ogrom smutku, żalu i gorczy.

— Wielki Boże! — krzyknęła Walentyna, przybiegając do niego, — co ci jest?

Hrabia Leon odsunął ją od siebie.

W milczeniu wszedł do dalszych pokoi i na klucz drzwi zamknął za sobą. Walentyna sama została. Naraz stanął jej przed oczyma obraz dawnego właściciela tego domu, przypomniała sobie straszną przepowiednię i cała groza możliwego nieszczęścia ujawniła jej się w bladej twarzy jej męża!

Gdzie spojrzęła, widziała krew, słyszała przekleństwo; serce jej ścisnął przestrasz nie do opisanania.

Pod tem wrażeniem skoczyła do zamkniętych drzwi i z taką siłą popchnęła je, że się otwarły.

Hrabia Leon leżał na kanapie.

Boleść i przestrasz Walentyny powiększyły się o tysiąc razy jeszcze, gdy hrabia dał jej poznać ruchami, że mówić nie może: zaniemówił.

Natychmiast posłano po lekarzy.

W jednej chwili niezwykle ruch zapanował we dworku.

Walentyna zalewała się gorącymi łzami; okrutne wyrzuty sumienia dręczyły jej serce. Więc to ona, żona tak kochana, tak ubóztwiana, przywiodła męża do tego stanu! Gdzież się podziały jej zasady, jej pewność siebie, mniemana siła jej charakteru? Zapomniała teraz o Kazimierzu, nie myślała co się z nim dzieje, bo w tej chwili znie nawidziła go.

Lekarze po krótkiej naradzie nie zostawili jej żadnej nadziei; hrabia przebył wzruszenie jakiegoś tak silne, że wstrząsnęło ono całym organizmem i tylko reakcja tego organizmu mogła jedynie ocalić go jeszcze.

To też gdy słonko rozjaśniło świat cały, gdy ranek już się uśmiechnął, jednostajny dźwięk dzwonka oznajmiał przybycie księdza, który śpieszył do konającego.

Ksiądz dał absolucją ogólną i wiyatyk na drogę ostatnią, do której przygotowywał chorego łagodnymi słowami.

We dworku opanował już też wszystkich ten strach, który śmierć poprzedza. Służba kręciła się przerażona. Zabobonne powieści o złym duchu, o ukazaniu się hrabiemu jakiegoś strasznego widma, przechodziły z ust do ust, potęgując się.

O godzinie czwartej zjawił się Kazimierz.

Walentyna powitała go twarzą bladą jak marmur:

— Mój mąż jest śmiertelnie chory, — rzekła.

— Chory... tak nagle... Cóż się stało?

— Myśmy go zabili, — jęknęła Walentyna. — Nie wiem czy jest pokuta, po której mogłoby przyjść rozgrzeszenie. Lecz całą winę ja biorę na siebie, ja powinnam była niedopuszczyć do tego, co się wczoraj stało; nie uczyniłam tego jednak i Bóg mnie srodze ukarał.

Nie spojrzawszy już potem na Kazimierza, wyszła z salonu.

On też jej nie zatrzymywał, bo żadne słowa, żadne pociechy na nic-by się nie zdały.

Wyszedł, aby mógł zebrać myśli i zastanowić się: co mu wypadło uczynić.

— „Myśmy go zabili?“... — szeptał, — a więc hrabia był świadkiem wczorajszej nocy! Ach! ja to wniosłem do tego domu łzy, boleść... i gryzoty sumienia.

I jak obłąkany szedł dalej, niewiedząc dokąd idzie.

Tymczasem Walentyna cicho i ostrożnie weszła do sypialni chorego; lecz, chociaż była przygotowana na widok przeszywającej serce boleścią, stanęła jak zamieniona w kamień.

Chory dźwignął się z łóżka i śmiertelnie zmieniiony, w białym tylko, stał przed jej portretem i patrzył weń z wyrazem nieopisanym przez słowa żadne.

Jej się wydarł z piersi jęk niepowstrzymanej rozpacz:

— Leonie! — zawołała.

On drgnął, zachwiał się i runął o ziemię.

Przywołana służba zaniósła go na łóżko.

Przez pewien czas leżał nieruchomy z zamkniętymi oczyma; lecz po chwili otworzył je, i wzrok jego spotkał się ze wzrokiem Walentyny.

Pragnął coś mówić... może przebaczyć... ale zamiast słów, tylko westchnienie ciche i ostatecznie wydobyło się z piersi.

I skończyło się na ziemi istnienie jednego człowieka!

Walentyna, bez szlochów, bez spazmów, ukłękła przy trupie, zasłoniła twarz rękami i modliła się w milczeniu.

Niedawno wesoły, dworek okrył się żałobą. Wszystko w nim było poważne i strwożone, a służba nieustając szeptała między sobą, że hrabia onegdajszej nocy, wyszedłszy do ogródka, musiał ujrzyć ducha, który-to widok o śmierć go przyprawił.

Tak... widział on ducha nieszczęścia, widział go, jak rozpostarł skrzydła nad jego jedynym dobrem. Widział to, co mu odbierało wiarę w najdroższe jego ukochanie, — i cios ten rzeczywiście go zabił.

Zwyczajny człowiek byłby w całym tem zajęściu postąpił inaczej; ale hrabia Leon liczył się do ludzi niezwykłych, on czekał, patrzył i pozwolił sercu swemu pękać z boleści.

W nagrodę za to złożono go w mogiłę ustrojona w przepyszne kwiaty, odprawiono mszę za spokój jego duszy, i szumny nekrolog wydrukowano w gazetach.

VI.

Kazimierz był tymczasem jak człowiek rażony piorunem. Co miał robić ze sobą, jak postępować z Walentyną? W kilka dni po pogrzebie poszedł do niej; ale stary lokaj oznajmił mu, że pani hrabina nie przyjmuje.

Powtórzone mu to raz drugi i trzeci. Walentyna zamknęła się w samotności z postanowieniem pokuty za to, co się stało przez nią i z jej winy. Jakiegokolwiek mogły być jej uczucia dla Kazimierza, wyrzekła się nazawsze jego widoku. Napisała list do ojca, prosząc go, aby przyjechał i zabrał ją ze sobą do Warszawy.

Smutny, choć prostym zbiegiem okoliczności, pan Fortunat, wyszedłszy raz na spacer z wnuczką, znalazł się przed pięknym dworkiem.

Marynia rozglądała się wkoło. Wszystko tu ją nęciło, pociągało do siebie, i przez główkę przebiegła jej myśl, że tutaj żyć i kochać byłoby szczęściem wyższym nad wszelkie wyrazy.

— Jakże tu ślicznie, dziaduniu! — rzekła w zamysłeniu.

Młoda kobieta w żalobie znajdowała się blisko, i słysząc zachwyt Maryni, ozwała się smutno:

— Ten dworek podoba się pani?

— Czy mi się podoba? Ależ ja zazdroszczę tym, którzy w nim mieszkają!

— Nie zazdrość pani nigdy tego, czego nie znasz, co możesz widzieć tylko zwierzchu. Między kwiatami mogą pełzać węże, na kwiaty mogą spływać łzy...

— Och! tu nawet i płakać milej być musi! Tu

nietylko szczęście się upięknia, ale i boleść niewątpliwie łagodnieje.

— Mylisz się pani. Boleść jest w nas, i otoczenie żadne nie wpływa na nią. Widok śmiejącej się, pięknej w swym niewzruszonym spokoju natury szarpie tylko sercem, nie leczy go....

— Jabym myślała, że przeciwnie.

— Bo pani jeszcze nie wiesz, co to cierpieć.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Marya Gentili Montalti.

(Dalszy ciąg, ob. Nr 48).

Wśród winnic i ogrodów Oletty miał się teraz rozegrać wielki akt okropnej tragedii. Paskal Paoli miał się tu spotkać z francuzkim rządcą wyspy: „aby przyszło między nimi do porozumienia“.—Jakiem ono być mogło? Paoli kazał wydobyć z klasztornych archiwów Marosaglia stare dokumenta, dowodzące niczem nienaruszonych praw korsykańskiego ludu do jego ziemi ojczystej; Carlo Bonaparte, sekretarz prezydenta, przywiózł je za nim do Oletty na piersiach, tak, że dostać je ztamtąd było można, tylko zbroczone krwią jego: jakiż przecież argument miał drugostronnie postawić hrabia de Vaux? Czyż powie, że Francya jest ogromnem państwem, a Ludwik XV znakomitym monarchą, że walka Korsyki z tą potęgą jest, jakby walką morskiej jaskółki, z siwym orłem, który się gnieździ na Sierra di Tenda? Ale istnieje w piersiach tłumów ludzkich wielkie uczucie sprawiedliwości, które im nie daje spokojnie przystać na bezprawie; istnieje w piersiach tłumów ludzkich tak wielkie uczucie miłości dla tego kawałka ziemi, na którym się rodzili, że są zdolni umierać za niego—*Et propter vitam vivendi perdere causas!* Najpierw jako pierwsza straż bezpieczeństwa, mająca zapewnić spokojność obradom, nadciągnęła do Oletty najemna kompania Niemców na żołdzie korsykańskim. Jurgeltnicy ci byli dobrze uzbrojeni i dobrze wyćwiczeni w wojennem rzemiośle, zajęli odpowiednie posterunki, zaczęli gnieć warty, a d. 2 Lutego przybył Paskal Paoli z radnymi swymi i sztabem wojskowym. Znów zagrało w wąwozach górskich, od skał odbite dźwięki powtórzyły się echem przeciągłem; opat Saliceti w szatach kapłańskiego swego urzędu wyszedł z kościoła z Najświętszym Sakramentem w rękę, podesta Montalti stał w tłumie mężów swej gminy z odkrytą głową, i gdy ksiądz podniósł do góry monstrancją, gdy nią błogosławił, górskie czerwone koniki, niosące kilkunastu jeźdźców, spuściły się szybko z pochyłości górskich w dolinę Oletty. Lud wyciągnął ręce, podniósł krzyk długi: Benevenuto! Benevenuto! I bito w dzwony, Marya Gentili Montalti, córka podesty, z Romaną Saliceti, sierotą po bracie bohaterze i poetką, której pieśni lamentu lub tryumfu brzmiały wieczorami na całej wyspie przy dźwiękach mandolin, złożyły przybywającemu snop laurowego kwiecica pod nogi. Paoli został przyjętym w Casa Saliceti; podesta odstąpił tego zaszczytu domowi, który nosił żalobę po bohaterze poległym dłu sprawy narodowej i którego obecną głową był ksiądz heroiczny, dla ognistości swej natury, dla zapala gorącego mu w piersi, obdarzony od współziomków przydomkiem „Peverino“ (pieprz). I teraz ta ognistość porwała go: kapłan w gorącym uniesieniu zapala, zawołał naraz, że wielki mąż zbawiający ojczyznę nie powinien stąpać po gołych taflach tego czerwonego kamienia, z jakiego nietylko w casa Saliceti, lecz w całej Oletta, na całej wyspie dawana była podłoga. Czerwony kamień skał Korsykańskich rznęto na ten cel w mniejwięcej kształtną kostkę, lub czworokąt, które szły na użytek zamożniejszych; campana wieśniaka dostawała nieforemne odłamki, nigdzie przecież nie było posadzki innej, a tylko w domach bożych rozścielano przed ołtarzami świętych dywany. Ale wiadzano naprzód, że Paskal Paoli powiedzie niedługo naród swój na bój o śmierć lub

życie ojczyzny i chciano mu oddać cześć świętego: opat Peverino zabrał własnymi rękoma koberce kościelny, aby go rozesać pod stopy obrońcy Korsyki.

Wkrótce od przeciwnych gór granic paesy rozległa się znowu muzyka. Teraz grały ostro trąby francuzkie; skalistym wozem Aliso piał się pod górę oddział jeźdźców na ogromnych koniach normandzkich, powiewała chorągiew z liliami Burbonów. Hrabia de Vaux, naczelny wódz Francuzów, naznaczony z ramienia Ludwika XV na rządcę wyspy, generałowie: hr. de Marbeuf i de Grand Maison, adjutanci ich, wreszcie szwadron grenadyerów stanowiących eskortę, jechali w paradnych mundurach, orderach i pióropusach. Zatrzymano się na placu przed kościołem; lud milczący stał nieruchomo ścieśnionym tłumem po jego dwóch stronach, lecz Paoli wyszedł z casa Saliceti na powitanie tych, których stale mianował gośćmi swymi. On jeden między Korsykanami miał na sobie przyjęty przez modę dworów europejskich ubiór: zieloną, złotem haftowaną suknię; przecięż kapelus z piórem był starowłoskiego, w Korsyce przez klasy wyższe używanego od wieków kształtu i włosy spadające mu od czoła, aż na ramiona, nie przyjęły pudru. Liczył wtedy czterdzieści dwa lata wieku: wysoki wzrostem i kształtnie zbudowany, oblicze miał piękne, poważne i spokojne greckiego profilu; czoło wyniosłe, regularne łuki brwi czarnych rysowały się wydatnie nad jasno-niebieskimi oczyma; wzrok ich był bystry i przenikający, gdy chciał gruntować jakąś głębię duszy ludzkiej, zwykły zaś jego wyraz był tylko poważny i smętny nieco. Człowiek ten wziął na barki swoje wielki obowiązek i dusza jego nieraz musiała się czuć znużoną i tęskniła może za temi słodszyimi uciechami, tkliwymi pociechami życia, których nie zaznał nigdy: był on niemniej jak jego brat zakonnikiem, tylko z poza tej innej klauzury, która nie nakazuje habitu.

Brat Klemens stał obok niego w trepkach i boso, w czarnej sukni Franciszkanina, przewiązany sznurem białym. Wszyscy inni: tak wojownicy, jak mężowie rady nosili ubiór narodowy: czarne pelony, lub mentony, tkane z wełny czarnych owiec korsykańskich, ujęte pasem z czarnej skóry, za który zatykał się dobrze sztylet z błyszczącą głowicą. Głowy niektórych w miejsce czarnych, z szerokimi skrzydłami kapeluszy, pokrywała ludowa czerwona „berretta“ podobna do czapki frygijskiej. Ten zastęp surowy, ten rząd ludzi ciemno odzianych, tworzył dziwną sprzeczność z francuzkimi officerami; lecz obie strony były zarówno dumne, tylko były to dwie odmienne od siebie, walczące ze sobą i znoszące się wzajemnie dumy. Jednak hr. de Vaux z niekłamaniem uszanowaniem uściśnął rękę Paolego. Tłum pozostał na placu niespokojny i wzruszony; płomień jego wzroku krzyżowały się z hardemi spojrzeniami dragonów, którzy nie zesiadłszy z wysokich swych rumaków, stali na miejscu jak wryci w ziemię wojownicy kamienni, z ręką na kurkach pistoletów. Krótkie ich szable konnicy, zdawały się być w pół wydobyte z pochw.

Paoli miał przy boku krzywy bułat wschodni w bogato sadzonej pochwie złotej z emalią czerwoną, dar Tunetańskiego Beja, przysłany mu w dowód uwielbienia dla jego dzielnej sprężystości i wytrwałego mężstwa. Przypasał go teraz bohater niepodległości korsykańskiej, aby mówić przezeń dworakom francuzkim: — Potrafię umrzeć na polu bitwy, bom jest żołnierz!

Nie pochodził on z rodu wojowników, z szlacheckiego rodu dawnych baronów wyspy: Signori, ani nawet—jak rodzina Saliceti—z tej drugiej arystokracji, ludowej, która powstała w XII wieku z przedstawicieli gmin: Caporali. Ojciec jego był lekarzem rządowym w Morosaglia, ale jeżeli nie krew, to duch był w nim wspaniałomyślnie, szlachetnie rycerski.

Narady nie mogły rozwlekać się długo. W zasadniczej ich treści tkwił kamień obraźny, o który musiano bardzo prędko potrącić. Paoli chciał być zwięzłym i iść prosto do celu; zaważwał też zaraz na wstępie sekretarza swego, aby okazał przywiezione dokumenta i młody, bardzo piękny adwokat z Ajaccio, ojciec wielkiego syna, Carlo

Bonaparte wyciągnął z zanadru tekę pełną pergaminów, ale hr. de Vaux odsunął je na bok żywo. Król jego, monarcha francuzki, miał prawa wyższe nad to wszystko.

Czy te, które kupił, nabył za pieniądze? Francuz zaczął coś o sile, której będzie musiał użyć, o surowości nieuniknionej, lecz Paoli postąpił ku niemu o krok bliżej i podniósł ku górze prawicę.

— Hr. de Vaux!—zawołał—znaliśmy cię za dni młodości twojej człowiekiem szlachetnym i sprawiedliwym: otóż pytam cię teraz w imię prawdy wiekustej, w imię Boga na Niebiosach—zali uważasz nas w duszy twojej za złoczyńców i buntowników? za ludzi godnych kary i pogardy? Odpowiedz, jeżeli możesz.

Kroniki korsykańskie zachowały na chwałę hrabiego de Vaux ten szczegół, że twarz jego okryła się w tej chwili ognistym rumieńcem, a usta pozostały zamknięte. Milczały, bo człowiek ten, w głębi duszy swej uczciwy, nie mógł znaleźć na nich odpowiedzi.

Generał de Marbeuf, żołdak z rzemiosła, natura twarda, zimna i surowa, przyszedł mu z pomocą, wołając, że niema tu miejsca na słowa, że rozkazów jego najjaśniejszego monarchy nie godzi się rozbierać, a na to są kule i bagnety, aby rozgramiać nieposłusznych. Była chwila, że ręce Korsykanów szukały sztyletów za pasem, że głosy gwałtownego oburzenia miały wybuchnąć w słowa namiętne, ale Paoli umiał panować nad sobą i zarazem powagą wyższego ducha uciszał wzburzone namiętności ziomków swoich. Nie porwano się na Francuzów; gdy przecież hrabia de Vaux, ochłonawszy z uczciwego pomieszenia, zaczął przedstawiać korzyści wpływające na kraj mały, przez połączenie z Francją, oraz korzyści jej cywilizacji, któraby dzisiejsze rozłogi dzikiego rosmarynu przemieniła w łany uprawne i bogaty plon niosące, on zatrzymał go i uśmiechnął się smutnie.—Panie hrabio—rzekł—garść kasztanów upieczonych w popiele i kilka owoców zerwanych z drzew, które Bóg rozsiał tu dokola, pozwolą człowiekowi żyć pod łagodnym niebem naszej krainy; ale żaden dobrobyt nie dźwignie na duchu upadłego, w poniżeniu żyjącego człowieka, nie zagoi ran serca, które się krwawi.

Mówił to przecież do człowieka, który nosił koronkowe żaboty i pudrowane peruki i ten człowiek, choć szlachetnej natury, nie zrozumiał go może i w połowie.

Porozumienie nie nastąpiło; natura uczuć, jakie tu wrzały w sercach, czyniła je niemożliwym. Istnieje tylko podanie, utrzymujące się na Korsyce, aż do ostatnich czasów, jakoby Klemens Paoli, Franciszkanin, miał zostać w tej chwili nawiedzony duchem wieszczym i prorokując, przepowiedział dworakom Ludwika XV okropności rewolucji francuzkiej. Może piękna głowa hr. de Vaux pochyliła się przytem w zadumie bolesnej, ale dzika natura generała de Marbeuf odbiła od siebie słowa natchnione z ironią szydery. W piersiach surowego żołdaka wrzała gniewna pogarda monego gburą, gdy widzi, że słaby zrywa się przeciw za świętym sobie ideałem. W kronikach Korsyki został przytem zapisany czyn, biorący początek w dniu owym. Gdy zabrawszy głos w miejsce współtowarzysza swego we władzy, zamilkłogo pod szlachetnym wzruszeniem, począł Marbeuf grozić Korsyce ogniem i mieczem, gdy urągał pogardliwie jej słabości i ubóstwu, młody officer z orszaku Paolego, Carlo Abbatuci, pochwycił pistolet z zapasa i podniósł do wysokości głowy Marbeuf'a. Rozdzielała ich wielka, godowa sala domu Salicetich, przecież generał dojrzał ruch namiętny.—Na galery buntowników!—syknął też potem, gdy hr. de Vaux usiłował łagodzić żale, uśmierzać rozjątrzenie i, poszukawszy surowym wzrokiem niepanującego nad sobą młodzieńca, wstrząsnął w jego stronę pięścią ściśniętą, a w rok potem na rynku w Bastia kat piętnował za jego rozkazem Karola Abbatuci, schwytanego na polu bitwy i pod pozorem wiehrzącego podniecania innych skazanego na galery w Marsylii.

Paskal Paoli chciał zachować względem nieprzyjaciół formy oglady europejskiej i zarazem nie naruszyć świętych na Korsyce praw gościnności. Więc łamał następnie z wódmami francuzkimi chleb i przepijał do nich kielichem słodkiej,

a ognistej, jak natura jego kraju, małżamży. — Jutro dopiero możemy stanąć naprzeciw siebie — rzekł. — Do jutrzejszego wschodu słońca, wiąże nas jeszcze słowo pokoju i braterstwa tych, co siedzieli obok siebie przy stole jednym, kosztowali razem chleba i wina.

Nazajutrz, zanim słońce wzbilo się na czysty błękit korsykańskiego nieba, Oletta i jej mieszkańcy byli w mocy Francuzów. Pułk piechoty złożony z tysiąca pięciuset ludzi, pod wodzą siwego już, surowego człowieka, margrabiego d'Arcambal, zajął Pieve Oletta szarym mrokiem świtu, gdy ludzie spali jeszcze pod skrzydłami wiary i ufności w honor bardziej cywilizowanych bliźnich swoich.

Przecież Francuzi nie znaleźli już tutaj i nie ujęli Paolego, ani osób jego orszaku. Wstali rano; niemniej Bóg im nie dał, aby zdrada mogła włożyć pęta na szlachetnego. Obaj bracia Paoli, Carlo Bonaparte z teką pergaminów pod czarną peloną i wszyscy inni członkowie rządu korsykańskiego, już byli daleko za osłoną niezdojonego zasięku gór. Kompania niemieckich jurgeltników, dawała im tarczę swoich oręży. Paoli po krótkiej radzie wojennej, odbytej zaraz po oddaleniu się Francuzów z Oletta, postanowił nocować już w Pieve Murato, gdzie zamyslał wzniesić oszańcowany obóz. Fryderyk Wielki nazwał go za to najwyższym strategikiem, jakiego posiadały kiedy Włochy; on zaś, przez ten szybko w umyśle jego zrodzony i szybkiego wykonania, jak wszelki jego zamiar, domagający się pomysłu, uszedł smutnego losu jeńca. Wprawdzie potem został tularczem, uszedł za morze szukać chleba z pieca obcych, wschodów domu cudzego, po których, jak doświadczał przed nim Dante, „chodzić jest ciężko“, ale to zawsze lżej, to zawsze przygniata mniej o ciężar jeden.

Murato leżało w szyi wąwozu, który z powiatu Nebbio prowadzi w dolinę rzeki Golo, największego strumienia wody, posiadanego przez Korsykę. Tu się obwarować, to przeciąć pochod nieprzyjaciela w głąb kraju i zastąpić mu drogę do wschodnich brzegów wyspy, niedostępnych od strony morza było pomysłem genialnym. Gdyby nawet Murato zdobytem w końcu być miało, to masy skał postronnych: Lento i Cannavagio, dawały uchronię i twierdze zbudowane przez naturę, z których można było uderzyć na tyły nieprzyjaciela spuszczonego się w dolinę Golo. Paoli, z mapą wyspy rozłożoną na biesiadnym niedawno stole, wykazywał to towarzyszom przyszłych walk za Korsykę. — Naprzód! naprzód! wołał — bo za nami jest wróg potężny, który nie będzie chciał obdarowywać nas wczasem.

Ściągnięto warty cudzoziemskich zacieźników i w godzinę potem, gdy oddział francuzki przebył granice Oletty, bębny były już werbel, rogi grały pobudkę do wymarszu. Mieszkańcy Oletty zastępowali przecież drogę dostojnemu gościowi. — Jakto! nie przenocować pod gościnnym ich dachem, nie zasiąść do szczyrze już uczuciem bratniej miłości zaprawionej uczy! Nadchodzą czasy okrutne, pustoszące płomienie pożaru i mściwy miecz wroga może już będą odtąd jedynymi gośćmi wśród ich paese i on, ich opiekun, ojciec ojczyzny, on nie chce spełnić z niemi czary pożegnania!

Opat Saliceti i podesta Montalti wystąpili z prośbą inną jeszcze. Wojna znów musi wybuchnąć, straszliwiej niż kiedy, oni obaj starzy już są, a u każdego z nich jest w domu dziewczyna, której chcą dać opiekuna. Akt zaślubin, wesela odłożone być muszą do czasu cichego spokoju; ale dziś niech zostaną zamienione pierścienie narzeczonych, niech przytomność wielkiego człowieka uświetni obrząd, upamiętniając go nazawsze w rodzinach oblubieńców.

Ale Paskal Paoli nie chciał, nie mógł zostać nawet mimo to. Jego znów oblubienica: jedyna najdroższa, najpiękniejsza nad wszystkie piękności świata, kochana najtkliwiej, najgoręcej miłością najwyższą — ojczyzna jego, Korsyka, wzywała go, aby rozpostarł nad nią ramiona obrony. Tyle mieczy ostrzono na nią, tyle kul przesyła ją mających, nabijano w lufy karabinów, w paszcze dział: i miałże on ociągać się z osłonieniem jej piersi, choćby tylko dobę jedną? Jedna doba!... jak wiele krwi i łez może się polać w przeciągu tej doby jednej...

Opat Peverino miał już gorące rumieńce na licu. — Brat Romany Saliceti leży w grobie i nie wstanie, aby ją wieść przed ukochanego! — zawołał.

— Córka moja Marya, — dodał podesta Montalti, — zaręczą się dziś z Bernardo Leccia, który bił się nieodstępnie przy boku Carla Saliceti, był z nim w murach Furiani, był z nim na krwawym polu Borgo. Jutro, lub pojutrze pójdzie na inny szlak walki i zapasów śmiertelnych, czyż więc, panie, nie uświetnisz krótkiej godziny jego szczęścia blaskiem przytomności twojej?

Romana Saliceti, poetka, której vocero na zgon brata jej Carlo, dotąd wtrusza smętne serca niewiastkorsykańskich, zaręczała się z Achillem Grimaldi, adwokatem z Bastia. Ród Grimaldich stary był i znakomity; starszy brat Achila, Leone Grimaldi, należał do przybocznych radców i był osobistym powiernikiem Paolego, co powinno było także zaważyć na szali. — Achillu! — zawołał też ksiądz rozdrażniony, — dlaczego nie dołączysz prosby twojej do naszych?

Paskal Paoli obrócił się wtedy do młodzieńca. Był on prawnikiem, adwokatem, więc człowiekiem poważnym i myślącym, do niego zatem mógł przemówić mąż stanu, wiedząc że zrozumianym będzie. — Achillu! — rzekł, — powiedz mi czy mogę pozostać? Czy radzisz mi to z serca i przekonania szczerego?

Raz już drugi dzisiaj zapytanie Paskala wzbudziło u zapytywanego wielką burzę w sercu i sumieniu. Jak hrabia de Vaux przed kilku godzinami oblał się rumieńcem, tak teraz Achilles Grimaldi zbladł — zbladł śmiertelnie.

Milczał chwilę podobny do cienia, wywołanego z grobu, usta jego drgnęły razy kilka, nie mogąc wydać głosu.

Nakoniec otwarły się znowu, białe jak u tego, który kona, i Achilles Grimaldi zawołał:

— Nie... prezydencie! nie... odjeżdżaj...

— A widzicie! — zawołał Paoli tryumfująco, — ten młodzieniec mnie rozumie, rozumie powinność moją....

Ten młodzieńiec był zdrajcą! On jeden znał zamiary Francuzów, on ich uwiadomił o uczie, która długo w noc trwając, da rozmarzonym moczny sen nad ranem.

Teraz przecież coś drgnęło w duszy Judasza i zdradził z kolei tych, którymi zaprzędał duszę i ojczyznę. Przez niego może Francuzi nie ujęli w Oletta Paolego i wszystkich jego towarzyszy. Ale coś mu się stało i nie mógł... nie mógł powiedzieć Paolem: Tak... zostań....

Hrabia de Vaux nie mógł podobnie tego rana powiedzieć mu: Tak... ja, nie ty, mam słusność!

Duch człowieka opiera mu się nieraz. Sumienie podnosi bunt i wzięte na cugiel fałszu lub zdrady, wspina się jak koń, któremu każą przeskakiwać przepaść.

Paskal Paoli wziął tylko za ręce obie narzeczone i patrząc z tklivością ojca na ich młodość i wdzięki, błogosławił im: — Idźcie szczęśliwe drogą miłości, — mówił, — strzeżcie iskry świętej na ogniskach waszych domów, ródzcie ojczyźnie synów mężnych.

Ale chwila czasu snadź była okrutna i może przeklęta, bo przeznaczenie obróciło nawspak wszystkie życzenia wielkiego męża. Romana Saliceti, muza ojczystej ziemi porzuciła ją, i dla miłości cudzoziemca, niemieckiego zacieźnika, poszła z nim w daleką krainę północy, aby tam rodzić dzieci ojczyźnie nowej. Marya Montalti nie ślubowała miłości nikomu z żywych ludzi; jeden tylko pocałunek miłosny złożyła na usta trupa i umarła dziewczyną, z niezjętym przez nikogo wieniec białego kwiecia pomarańczy.

(Dokończenie nastąpi)

OBOWIĄZEK

(Streszczenie z Samuela Smiles).

(Dalszy ciąg)

Sferę obowiązku zakreslił Smiles tak szeroko, że weszły w ten obręb najwyższe cnoty ludzkości.

Jest to wysokie pojęcie przeznaczeń człowieka, któremu to wytwarza wielką odpowiedzialność moralną. Czem niżej pojmujemy człowieka, tem odpowiedzialność ta bardziej się zmniejsza, a ginie zupełnie, skoro materyalista zaprzeczy, czy przeoczy, w człowieku ducha i wszelką sprężynę działań ludzkich widzi tylko w fizyczności jednostek. Wtedy temperament staje w miejsce charakteru i w sędzie naszym o człowieku, o czynach jego, liczyć się musimy przeważnie, a nawet jedynie, z krwią i nerwami. Wtedy też wszyscy są niewinnymi, winną mogłaby być tylko natura i instynkta, które w nas umieściła. Wszyscy są sobie moralnie równi: cnota i występki przestaje istnieć, obowiązek w jego etycznym znaczeniu znika zupełnie. Smiles, przeciwnie, stawia obowiązek na straży całego naszego istnienia. Obowiązek przyjmuje nas u wrót życia i oddaje śmierci. Kiedy się rodzi dziecko, obowiązek rodzicielski sprawia, że należy nam wychowywać je, uczęć kształcić moralnie i przykładem naszym wskazać mu drogę sprawiedliwości. Obowiązek postępuje za nami wskrós całego żywota i wszelkich jego stosunków: jest z nami w domu i poza domem, gdzie obok obowiązków rodzinnych istnieją obowiązki względem tych, co dzielą z nami powszedni trud życia: względem domowników naszych. Są obowiązki pana dla sług, sług dla pana. Są obowiązki towarzyskie, obowiązki dla kraju i współobywateli. Uczucie obowiązku jednostki dla wszystkich, wkłada na każdą osobistość ludzką wielką odpowiedzialność: i nie ma też prawdziwego, pełnego życia tam, gdzie się tak nie czuje, nie działa odpowiedzialnie.

Spółczeństwo ludzkie stoi na poczuciu się człowieka do obowiązków względem ogółu. Gdzie zmysł takiej odpowiedzialności zaciera się, tam następuje ruina. Walter-Scott powiedział: „Plemię ludzkie zginęłoby, gdyby ludzie nie pomagali sobie wzajemnie. Od tej chwili, w której matka obwiązuje główkę nowonarodzonego, aż do tego momentu, kiedy jakaś ręka dobroczynna ociera pot z czoła konającego, istniejemy przez pomoc wzajemną. Każdy potrzebuje pomocy, ma też pełne prawo żądania jej od bliźnich swoich. Nikt nie może bez grzechu pozostać głuchym na wezwania takie; jeżeli tylko posiada możność pomocy, obowiązany jest dać ją — on, który bezustanku potrzebuje czegoś od drugich“.

Smiles powołuje się na dawniejsze swoje dzieła, w których wykazał wielką siłę dobrego przykładu. Dawać go, jest jedną z najcenniejszych działalności ludzkich i zarazem nakłada to na nas odpowiedzialność bardzo wysoką. Przykład działa silnie nad wszelką naukę, przykład wpływa najpotężniej na wyrabianie się obyczajów. Życie uczciwe, to nauczycielstwo najwyższe. Dobry przykład jest najbogatszym spadkiem, jaki człowiek może zostawić po sobie, i szlachetnego charakteru obraz, to najpiękniejszy dar człowieka dla ludzkości. Wymaga to po nas odwagi i wiary w dobre, wymaga to podniesienia się nad pożądania samolubne. Pokusy uderzają na każdego, ale człowiek posiada moc potrzebną do ich odpychania, bo jest wolny duchem i ma w sumieniu swoim wskazówki, pouczające go, co czynić należy. Obowiązek wymaga po nas nadewszystko miłości ludzi i czystego życia, w którym zamyka się tajemnicza siła charakteru i odwagi w walce ze złem. Czyste życie — to dzielność! Uczucie sprawiedliwości nie pozwala nam na uciskanie innych i czyny okrucieństwa, okrucieństwo jest nieludzkością; uczucie sprawiedliwości podnosi nas ponad egoizm i nie dopuszcza różnych przejawów samolubstwa. Wiara w Boga, panującego nad światem, stanowi wiarę w panowanie dobra, które przyjsć musi koniecznie dla ludzkości. Jest to Królestwo Boże, którego czekamy. Zwycięstwo dobrego nad złem: to przemienienie wszystkich istot złych w istoty dobre, to rozjaśnienie ciemności, wyniesienie piękna ponad brzydotę. Kto daje z siebie dobry przykład, ten zbliża ludzkość do takiego błogostanu, bo rozszerza krąg dobra.

Najlepsi, najdzielniejsi ludzie mogą mieć i miewają chwile słabości i zwątpienia. Słupy ich wiary chwieją się, wstrząśnięte; ale to jest dowodem siły i szlachetności ich ducha, że zdolni są podnieść się nad stan taki, że nie ulegają nazawsze.

Musimy wierzyć, że jest mądrość najwyższa, która rządzi światem. Smiles odnośnie do tego naukę zamyka niemal w słowach Żmichowskiej: „Nie dziwuj się Bogu“.

Do artykułów wiary szlachetnego człowieka, zalicza on wiarę w braterstwo wszech ludzi. Należy nam kochać człowieczeństwo, kochać każdą istotę ludzką. Należy też starać się o uzaczenie każdej, o uczynienie dobrym tego nawet, który był względem nas złym. Przeczenie nie daje duchowi ludzkiemu oparcia. Przeczenie może burzyć, ale nie potrafi nic zbudować. Nic dobrego, nic płodnego w owoce życia nie przyszło też ludzkości z przeczenia. Systemat negacyi jest systematem rozkładu, zabiera ale nie przynosi. Lepsza część istoty naszej zamiera pod działaniem tej siły; wiara i nadzieja opuszczają nas. Złe nie usuwa się ze świata przez przeczenie, bo to siła ujemna, a jedynie moc dodatnia pracuje twórczo.

Nawet wszelkie zwycięstwa naukowe zostały odniesione przez wiarę. To nie przeczenie pomogło w tem Newtonowi, aby wykradł naturze jej wielką tajemnicę: prawo ruchu. Kepler, Dalton i Faraday pracowali również z tą głęboką wiarą, że światem rządzą siły stałe i porządne: prawa, na których oparł się Stworzyciel. Herschel starszy i młodszy, ojciec i syn, w podobny sposób i z taką samą myślą poświęcali długie lata życia spoglądaniem i obliczaniu biegu gwiazd. Kobieta stojąca między nimi (siostra Herschla starszego) była istotą głęboko i niezachwianie wierzącą. Nauka nie przeskodziła do tego ani jej, ani im, a raczej pomogła. Syn dokonał ojcowskiego dzieła przez tę moc dodatnią, która płynie z miłości i wiary; na tarczy swej sławy napisał też na nieśmiertelność wieków ziemskich: „*Coelis exploratis*“.

Przeczenie sieje ziarno rozpaczy i zniechęcenia. Dość spojrzeć po świecie, dość wpatrzeć się w życie, aby przekonać się o tem. Kto raz wejdzie na drogę wątpienia, może i musi zwątpić o wszystkim, czego nie może poznać dotykalnie, a wiemy przecież, że przed najmędrszym, najuczciwszym, tak jak przed najprostszym, stoi pod tym względem granica, której nie może przebić i musi uznać, że tam, poza tym a tym kresem nie już nie wie. A czy tam nie ma nic? Czy może twierdzić, że horyzonty otwarte dla jego badań są jedynymi horyzontami życia wszechświata?

W chwili, gdy gwałt namiętności i interesów osobistych, zajęć samolubnych, odsuwa się od nas na stronę, gdy wchodzimy głębiej w siebie, gdy walka stroniczka nie zapala nas, a wzrok spokojny może lepiej i głębiej spojrzeć w przeszłość naszą: prawda przystępuje do nas bliżej i sądzimy się bezstronnie w świetle uspokojenia i sprawiedliwości. Smiles przytacza kogoś ze swych znajomych, jak złożony chorobą, uważał się już blizkim śmierci i zwracając wzrok poza siebie, począł rozbiierać ubiegłe życie: — Czy przyszło z niego komus coś kiedykolwiek? Czyjemuś sercu przyniósł kiedy ulgę? Jakież ognisko rodzinne ubłogosławił? Co dobrego zrobił i czy ludzkość zyskała choć cośkolwiek na tem, że on żył, że istniał na ziemi? Odpowiedzi za pytania, które zadawał duchowi swojemu, brzmiały cicho i smutnie, gdy przecież choroba przesiliła się szczęśliwie, mędrszy, lepszy człowiek podniósł się z łóżka niemocy. Chciał żyć życiem szlachetniej zapełnionem, niż dotąd, i znajdował co chwila sposobność do jakiegoś dzieła miłości i poświęcenia, do jakiegoś dobrego uczynku, jakiego dawniej nie spotykał nigdy na swej drodze. Tajemnica tej zmiany kryła się w tem, że teraz chciał znaleźć i patrzył inaczej przed siebie. Poczul się do wyższej życia odpowiedzialności i świat zmienił się wkoło niego.

Uczucie obowiązku w dziwny sposób wygląda nam drogę życia. Uczy nas widzieć, wiedzieć i słyszeć. Usuwa zprzed nas trudności już przez to samo, że przestajemy się targować sami ze sobą; zali należy nam zrobić to tak, a nie inaczej? — Rób, coś powinien! to wielka potęga, jeżeli raz szczerze i prawdziwie weźmiemy to do serca i sumienia naszego. Opieramy się mocniej pokusom i dochodzimy coraz wyższej uczciwości, dobroci, sprawiedliwości. Doświadczenie nas uczy, że możemy zawsze dojść do tego stopnia doskonałości, który posiadamy pragniemy. Walcząc przeciw skłon-

ności złej, na korzyść skłonności dobrej, ulepszymy się zwolna i nawet bezwiednie stajemy na szczycie wygranej. Każdy dzień walki czyni ją lżejszą i zapewnia nam mocniej zwycięstwo. Zbieramy plon z posiewu ziarna rzuconego w życie nasze.

Drogą wiodącą najpewniej do doskonałości jest obranie sobie jakiegoś wzniosłego, szlachetnego wzoru do naśladowania. Podnosimy się zawsze przez usiłowanie takie, choćbyśmy nawet nie zdolali osiągnąć zamierzonego celu. Siła woli, moc charakteru nie pozostaje nigdy bez skutku na życie i musi się w niem zaznaczyć zwycięzko. Choćby wykształcenie nasze było niewielkie, zdolności małe, choćbyśmy nie posiadali ani majątku, ani wyższego stanowiska towarzyskiego; niemniej silny charakter i wyższy ideał moralny zapewni nam zawsze wpływ i szacunek u ludzi. Władze nasze nie zużywają się w działaniu, ale przeciwnie tępieją, gdy pokrywa je rdza bezczynności. Zapal i działalność żywa daje jedynie życiu blask i piękność.

Perthes (zasłużony niemiecki kartograf) powiedział: „Wiem, że żywa wyobraźnia, to sól ziemskiego życia i bez niej natura staje się dla nas szkieletem. Ale czem obdarowanie to jest wyższem, tem odpowiedzialność większą.“ Wyobraźnia powinna oddziaływać na nas i w tym kierunku, abyśmy nie schylali głowy, nie upadali na duchu wobec przeciwności. Życie toczy się różnobarwnie, i należy nam to pamiętać; wyobraźnia może i powinna ożywić nas w chwili przejść ciężkich, ukazując nam tę jego zmienność. Młodość jest wiosną człowieka, jest czasem ruchu i wzrostu. Młodość ma przed sobą życie w jego rozmaitych formach i przejściach; wychowanie, zasady wyniesione z domu, powinny towarzyszyć tam młodzieńcowi za to wszystko dobre, co u progu życia znajduje w sercu i umyśle, w charakterze swoim, powinno go pobudzać do wdzięczności, do czci dla rodziców. Zasady uczciwe w niego wszczepione, przedstawiają pracę moralną ich żywota, trud myśli i czynów całego ludzkiego wieku. Syn szlachetnych rodziców obowiązany jest do szlachetnego życia: wziął spadek bogaty i godzi mu się wywiązać uczciwie z nałożonego przez to obowiązku. Jest to częścią powinności dziecka względem rodziców, częścią wdzięczności i uszanowania jego dla nich — długu u nich zaciągniętego, z którego wypłacić się trzeba młodości. Periander, jeden z siedmiu mędrców greckich, odezwał się do młodzieńca w tej myśli: — „Okaż się godnym rodziców twoich“. Cnoty rodzicielskie obowiązują. Z rodzinami jest tak, jak z ludźmi: tylko ciągłość uczciwego postępowania, wytrwałość w dobrem, utrzymuje nieskażonym honor jednostki i honor rodu.

Jeżeli przecież umysł i serce młodzieńca pozostały bez należytego wykształcenia, kwiat nadziei nie rozwija nam się przed oczyma: patrzmy w przyszłość jego lat męzkich smutnie i niespokojnie. I on niemniej wyniósł z domu puściźną jakąś: słowa tam słyszane, przykłady tam widziane są teraz z nim i wywierają wpływ swój na dobre, czy na złe. Bo rzecz każda musi mieć skutek jakiś i nie bez wywartego skutku nie przepada. Nie możemy popełnić nigdy czegoś złego, aby kara za to nie nastąpiła, choć gdzieś i kiedyś. Każde złamanie moralnego prawa rozbrzmiewa przez nieskończoną liczbę lat. Wyrazy i uczynki powszednie zdają się drobnostkami bez następstw, lecz nie... mają i one swoją nieśmiertelność i mogą świadcząc przeciw nam w lat dwadzieścia, w lat sto, gdy już nas nie będzie na świecie. Św. Mateusz Ewangelista napisał też: — Przez słowa twoje będziesz usprawiedliwionym, przez słowa twoje potępionym będziesz“.

Złe czyny, złe przykłady zmartwychwstają podobnie, a raczej nie umierają nigdy i wywierają działania swoje, przechodzą na pokolenia. Z końcem życia nie kończy się pamięć o nim i trwa jako wspomnienie. Co raz zostało wywołane do bytu, już odwołaniem zostać nie może i Tomasz z Malesbury miał słuszną dowodząc: „Zadne przewidywanie ludzkie nie jest w stanie dojrzeć końca temu łańcuchowi następstw, który się ciągnie za każdym z czynów człowieka“. „Każdy atom — pisze Babbage — przejęty dobrem

lub złem, odbywa swój ruch, jaki mu nadali mędracy i filozofowie, zmieszany i połączony dziesięć tysięcy razy z tem, co jest niskie i nie nie warte. Powietrze samo jest jak ogromna księżnica, w której dziełach zapisane jest *nazawsze* wszystko co uczynił, rzekł, poszepnął“.

Każda myśl, słowo, czyn ma swój wpływ na przeznaczenie człowieka. Każde życie, dobrze lub źle przeżyte, oddziaływa następstwami swymi na pokolenia jeszcze nieistniejące. To też powinno głęboko przejmować ludzi myślą odpowiedzialności, która łączy się z wszelkimi ich postępkami, i Smiles przytacza słowa jednego z myślicieli angielskich, który po przeczytaniu traktatu: „Ostatnie chwile hrabiego Rochesteru“ napisał: — Potężnie uderzony otrzymanem wrażeniem, na byłem przekonania, jak wiele złego roznieść może szkodliwie napisana książka“.

Złe książki są też gorszą jeszcze rzeczą od złych słów. Podobnie jak złe czyny, nadają one kształt moralny myślom i woli pokoleń przyszłych. Książka przeżywa twórcę swego; niepocziwy pisarz żyje na wieki wieków w narodzie swoim i książka jego sieje tam występki, niemoralność, ateizm. „Sztuka drukarska — pisze Fryderyk Schlegel — jest sama w sobie najświetniejszą i najpożyteczniejszą, ale ponizono ją do podłej usługi rozpowszechniania po świecie pism potwarczych i zdań zatrutych“. Schlegel oskarża zarazem druk, że to on spowodował niebezpieczny przyływ lichych i powierzchownych utworów, zarówno szkodliwych dla czystości smaku, jak gruntowności sądu. Nazywa on w swojej *Historii Literatury* to wezbranie drukowanej bibuły „morzem szalonych pomysłów i hałaśliwych nicości, które miotają duchem wieku to w tę, to w ową stronę, narażając go na częste i wielkie niebezpieczeństwo całkowitego stracenia z przed oczu kompassu rozmyślenia i polarnej gwiazdy prawdy“.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Ogłoszenia literackie. — *Wiktor Hugo i jego czasy*, przez p. Babou'a, z ilustracyami. — *Powiatki p. de Besenval'a*, przedruk z XVIII wieku. — Zapomniany autor, jego skolligaceie polskie. Nowy dziennik francuzki pod redakcją Polaka. — P. Wołowski i jego *Echo de France*. — Nowa powieść pofrancuzku P. Charles Edmonda (Chojecki). — *Jeszcze Polak* w literaturze cudzoziemskiej. — Własnoręczny zyciorys przez Alf. Daudet'a. — Wieczory literackie dyplomatyczne p. Julii Lamber (Adam); jej poselstwo i wyjazd do Petersburga. — Dziwne życie i smatna śmierć w Paryżu barona Krüdenera. — Ostatni tom dzieła *Chrystyanizm i jego początki* Ernesta Renan'a: *Marek Aureliusz*.

Paryż, w Listopadzie 1881 r.

(Dokończenie).

P. Edmund Chojecki pod pseudonymem *Charles-Edmond* dużo pisał pofrancuzku. Ostatnie jego dzieło, rodzaj podróży opowiedzianej w powieści: *Zépirin Casavan en Egypte*, było premiowane, rok, czy dwa lata temu, przez Akademią Francuzką. W powieści, o której mówię dzisiaj, jak we wszystkich pismach p. Chojeckiego, nie należy szukać wypadków i scen nadzwyczajnych. Autor *Haralda* opowiada pewne zdarzenia, których pomysły należy się jego własnej wyobraźni, i które są tylko tłem, kanwą, powodem do zarysowania, nie bez talentu, wybitnych bardzo charakterów kilku ważniejszych osób, i do malowania obrazów natury i życia, które miał sposobność poznać w czasie swojej podróży z księciem Napoleonem po Grenlandyi.

Część opisowa pod każdym względem zajmuje tu daleko więcej miejsca, aniżeli sam romans. P. Chojecki należy do tego rodzaju talentów, które w malarstwie stworzyły znakomitą Szkołę Pejzażystów Flamandzkich. Opisy jego są szczegółowe i obszerne, czasem nawet ze szkodą interesu, jaki powinien się utrzymywać i rozwijać ciągle w powieści; ale tłómaczy się to właściwością talentu i wyborem przedmiotu. Jest to, jak niebo-

szczyk *Zephirin*, podróż w powieści, a więc przy zaletach podrózpisarskich zalety powieściopisarsza są niby środkiem, a nie celem.

Przecież życie społeczne i jego wypadki, które spotykamy na tych kartkach *Haralda*, malują dobrze stan tego nieszczęśliwego kraju, który, podobny do poczciwego niewinnego podróżnika, wpada razem wręcz dwóch łotrów, na zawrocie drogi.

Trzeba jednakże oddać p. Chojeckiemu i tę sprawiedliwość, że wizerunki admirała Bannera, Nielsa marynarza, samego *Haralda*, doktora Magnusa, są oddane ze starannością flamandzkiego, jak mówiłem, malarza. Piękna postać Marty, tak czysta i jasna, postać idealna prawie, dobrze wychodzi z tych ram potężnie rzeźbionych, i przypomina te zamglone dzisiaj, rodzime postaci, które żyją i dodziśnią w duszy autora — jestem pewien tego.

Mówiłem już, że częściej opisowa przeważną odegręwa rolę w tej powieści p. Chojeckiego. Nie mogę jednak przemilczeć, że i część dramatyczna *Haralda* ma swoje piękne zalety. Śmierć marynarza Nielsa, śmierć Azela i Ulfa należą do wydatniejszych i uderzających swoją dosadnością scen utworu.

Dodam tu jeszcze, że język tej powieści, język francuzki, zaleca się wielką czystością i poprawnością stylu; *c'est un style châtié*, jak powiadają Francuzi. Dziś przymiot ten jest rzadki u rodowitych nawet Francuzów, a jeśli znajduje się pod piórem cudzoziemca, tem większej jest wartości. P. Chojecki jest jednym z tych uprzywilejowanych ludzi, którzy i obcym i swoim językiem umieją władać równie swobodnie i z równą biegłością.

Nie dziwiłbym się wcale, gdyby *Bluszcz* ogłosił w swoim dodatku *Numę A. Daudeta*. Ten prowancki *felibr* o kędzierzawej czuprynie — miły, grzeczny, dowcipny w miarę, a przystojny i potulny bez miary, stał się prawie bożyszczem błękitnych pończoszek, które w tajemnych schadzkach swoich czczą go, jak drugiego *Heliogabala* — i niesłychanie ponętne opowiadają o nim legendy. Dlatego powiadam, że się dziwić nie będę, jeśli się ukaże w dodatku. Wszak, jak powiadają te panie, pisma jego to *szczerozłote sztaby*.... Po głębokich studyach i wykwintnych życiorysach Prowansalczyka nie będzie może od rzeczy podać do wiadomości publicznej, biografią napisaną przez samegoż autora w dosłownem tłumaczeniu, z listu jego własnoręcznego. Będzie to miało tę ponętę w sobie, co tryska z żywego i pierwotnego źródła.

Na list jednego ze swych znajomych, proszący o szczegóły z życia do biografii czy studium, A. Daudet tak odpowiada:

„Panie, list twój po gonitwie i tysiącznych zwrotach doszedł mię na koniec w Marsylii, w hotelu, i spieszę z odpowiedzią, posyłając żądane daty.

„Urodziłem się w Nîmes w 1840 roku. Odbyłem nauki w liceum w Lyonie, z którego wyszedłem w 1856 r. aby wejść do collegium w Alais, jako dozorca klasy (Maitre d'études).

„Opuszciliem tę posadę w 1857, aby się rzucić w literaturę, i wydać w Paryżu u Tardieu'go pod tą datą 1857 r. mały tomik wierszy „Rozkochane“ *Les Amourcuses*, który miał powodzenie i dał mi wstęp w 1860 r. do p. de Morny'ego. Wiał mię on na sekretarza, a raczej dał mi swobodę i utrzymanie, co mi pozwoliło pisać.

„Odtąd życie stało mi się dość łatwym; ale od lat szesnastu do 21 żyłem w niedostatku i smutkach, których nikomu nie życzę.

„Ożeniłem się w 1867 — i moja prawdziwa praca i prawdziwe dzieła od tej datują się chwili.

„Od tego czasu wydałem na świat: *Listy z mego młyna*, *Le Petit chose* (arcydzieło autora; tytuł niepodobny do wytłumaczenia polsku), *Tartarin z Taraskonu*, *Listy do nieobecnego*, *Poniedziałkowe Powiastki*, *Robert Helmont*, *Zony artystów*, *Fromont młodszy*; przytem *Brat starszy* w jednym akcie, przedstawiony w Teatrze *Veauville'u*, *Ofiara* w trzech aktach w tymże teatrze, *Ludwika Tavernier* w siedmiu aktach w Teatrze *L'Ambigu*, *Arlezianka*, w pięciu aktach w Teatrze *Veauville'u*.

„Ogłosiłem przedtem, albo dałem na scenę, *Rozkochane* (wiersze), *Podwójna korona*, *Le Roman de Chaperon rouge* (coś jakby powieść o Czerwonym Kapturku), *Ostatnie bożyszcze*, (*Le dernier idole*) w je-

dnym akcie w Teatrze *Odeonu*, *Biały gwoździak*, jeden akt, w Teatrze *Francuzkim*, *Nieobecni*, jeden akt, w Teatrze *Opery Komicznej*.

„Nakoniec po długich latach walki, nędzy, zabiegów, podróży, potrafiłem zabrać się stanowczo do pracy. Sześć lat temu mianowany zostałem kawalerem Legii Honorowej.

„Cóż jeszcze? Nic. A jeżeli ci to wszystko powiedział, to dlatego, że piszesz w dzienniku *Le Bien Public* który był moim dziennikiem i gdzie zawsze i z wielkim zajęciem czytam to, co piszesz.

„Wierz, proszę, w moje wierne koleżeństwo i przypomnij mię pamięci P. M.

Alfons Daudet.“

Gdyby autor *du Petit chose* dziś pisał ten list, miałby jeszcze długą listę dorzucić do swych publikacji: *Żak* (Jack), *Nabab*, *Królowie na wygnaniu* i *Numa Rumestan* i to co jutro może wyjdzie na świat, a co dziś chowa się w odcinku jednego z tutejszych dzienników. Ale czy wszystko policzyć mu można do szczęśliwych piodów tej imaginacji i tego natchnienia z Prowancyi? Zdaje się że szklane słońce Paryża nie budzi tej organizacji do dawnych zapalów — a, jak dotąd, dawne owe, młode ptaszki: *Listy z mego młyna* i *Le Petit Chose*, nie wznowiły dla nas dawnego swego szczebiotu!

Nieraz już miałem sposobność wspominać w swych listach o pewnej wydatnej osobowości salonów paryzkich, artystyczno-dyplomatyczno-literackich, znanej w piśmiennictwie pod pseudonymem *Julietty Lamber*, a w świecie niepiśmiennym pod nazwiskiem pani Adamowej. Znowu podwoje tej dyrektorki *Nowego Przeglądu* otwarły się na przyjęcia srodowe, ale, jak szeptali najbliżsi przyjaciele, otwarły się nakrótko. „Babunia jedzie do Petersburga“, paplała malenka wnuczka tej pani — bo nowożytna Egiera nadsekwańska, niestety! jest babunią, ale babunią, przy której niema potrzeby powtarzać z łacińskim poetą: „*Lugete Venere cupidesque*“: i strojna i przystojna, gładka i szykowna, przy odpowiednem oświetleniu dwadzieścia lat najmniej wykrada.

Wieczór ostatniej srody był liczny, Towarzystwo mieszane czy pomieszane, jak mówi kapitan Sawicki... Błękitnych pończoch siła, bo te są jak u siebie — zresztą, dyplomacya, piśmiennictwo, sztuki łamane i nic. W liczbie niewiast pióra, potrzeba wymienić panią Foucaud, żonę profesora z francuzkiego collegium i autorkę, pod pseudonymem „*Marry Summer*“, powieści *Le dernier amour de Mirabeau* i *Les belles Amies de M. Talleyrand*; przy niej pewien rodzaj *intrygancko-dyplomatycznego reportera*. Niejaki baron Salvador, korespondent „*Voltaire'a*“, a w „*Ewenemencie*“ podpisujący się „*Un diplomate*“ i t. d. Nie chcę wyliczać reszty, bo było tu sporo wszystkiego i czubki brzoskwińowych koszyków, i już trochę nadpsute owoce, ale przy świetle i w ciasności wszystkie koty szare.

Mówiąc o tych mieszaninach obyczajowych paryzkich, nie podobna przemilczeć o śmierci jednego z dziwnych egzemplarzy, jakie to burzliwe morze emigracji powszechnej wyrzuca tu od czasu do czasu na brzeg Sekwany; umarł on temi dniami w ostatniej nędzy, wycieńczony fizycznie i moralnie, przyjęty przez miłosierdzie do jednego z hotelów przedmieścia Montmartre. Ta nazwa „przedmieścia Montmartre“ jest rzeczą tradycyjną, jak warszawskie Krakowskie Przedmieście, a jesto jedna z ulic centralnych Paryża.

Samo nazwisko tego biedaka wystarczy za cały życiorys: był to baron Krüdener! wnuk czy synowiec tej pani Krüdener, co tak dziwną i tajemniczą odegrała rolę w pierwszych latach tego stulecia. O jej śmierci i pismach pisałem wam na początku tego roku. Wiele z tych szczegółów pochodziło z tego właśnie źródła, o którym tu mowa. Officer wyższej rangi w marynarce rosyjskiej, przybył on do Paryża przed kilkunastu laty i dał sobie do rozwiązania to założenie: jak długiego potrzeba tu czasu do strwonienia całej fortuny? Powoli i prawie metodycznie przyszedł do tego rezultatu, jak się zdaje bardzo szybko. Wszystko, cokolwiek dostał, rzucił bez namysłu w paszczę paryzkiego Minotaura. Aż nakoniec, straciwszy zdrowie, siły i ostatni szeląg, stawiał

się przed kommissarzem policyi, wydziału Św. Honorjusza i zdeklarował, że jest bez żadnego sposobu do życia. Wysłuchawszy tej relacji, kommissarz policyi, chcąc zebrać inne jeszcze informacje w poselstwie rosyjskiem, skłonił właściciela jednego z hotelów do przyjęcia go tymczasowicie z miłosierdzia; ale Krüdener nazajutrz umarł z wycieńczenia i biedy. Miał lat sześćdziesiąt kilka.

Po tylu wiadomościach o ludziach, słówko jeszcze o nowej książce p. Renana: *Marek Aureliusz*. Jestto, jak się zdaje, ostatni tom *Początków Chrystyanizmu*; w swoim czasie zdałem już wam sprawę z pierwszych tomów tego dzieła, do którego wpłynęły: *Życie Jezusa*, *Apostołowie*, *Sw. Paweł*, *Antychryst*, *Ewangelie* i *druga generacyja chrześcijańska*, *Kościół chrześcijański* 6 tomów, — obecnie przybywa Tom VII i ostatni: *Marek Aureliusz*.

W roku zeszłym kiedy Renan jeździł do Anglii na sławne swoje konferencye w Londynie, pisałem wam o tych odczytach, z których ostatni miał właśnie za przedmiot tego samego *Marka Aureliusza*. Była to podług Renana ostatnia walka, jaką nowy dogmat stoczył ze starożytnej filozofii zasadą. Jak i dlaczego zwalczył tę ostatnią? Renan pokazuje nam to w tym ostatnim tomie swych studyów. Nie potrzeba tu szukać historycznej prawdy opartej na dowodach i na źródłach nowych albo już znanych. Jestto apologia rozumu i wiedzy ludzkiej, jak je pojmuje Renan, uosobiona w historycznej postaci wielkiego cesarza rzymskiego, na którym kończy się świat stary ze swym politeizmem i ze swoją filozofią, która, tracąc stoicką podstawę, traci wraz z nią wszelką godność człowieka i przechodzi w bydlęctwo i zabestwienie. Niezmierny blask stylu i żywość imaginacji, która wszystko oblec umie w najponętniejsze formy, nadaje tym historycznym marzeniom Renana niezmierny wdzięk w oczach szczególnie ludzi światowych, dla których materyał surowszy i bardziej naukowy niemożliwym jest do przyswojenia. Wziętość więc książki równa się wziętości autora. Ale przyjdzie czas, jak już przyszedł na pokrewnego mu nieco Chateaubrianda, że do tego Panteonu, który dzwignęło tak dziś ponętne pióro tego pisarza, mało kto wejść się odważy.

Z DZIAŁU PRZYRODY.

(Dalszy ciąg).

Ciesielski (obecnie we Lwowie) dowiódł w roku 1817, że jeżeli roślinę z obciętem końcem korzenia położymy poziomo, geotropizm nie działa na nią wcale, ale jak tylko korzeń rosnąć zaczyna i odzyska swój koniec, natychmiast skierowuje się pionowo ku dołowi. Dalej twierdzi on, że jeżeli u rośliny, która poziomo jakiś czas leżała, koniec korzenia obetniemy, to potem możemy już zmienić położenie rośliny, a korzeń będzie się wyginał tak, jak gdyby położenie rośliny niezmieniało swojego poziomego kierunku. Ponieważ faktowi temu Sachs zaprzeczał, więc Darwin wykonał wielką ilość doświadczeń dla przekonania się po czyjej stronie jest racya. Opiszemy tu jedno z tych doświadczeń. Fasole zasadzał D. w torfowisku, a gdy puściły korzenie pionowe pół do 1 cala długości, wybrał 16 takich, które zupełnie prosto rosły, położył je na samej powierzchni torfowiska, nakrywając je cienką warstwą torfu. W takiej pozycyi pozostawił je przez 1 godzinę i 37 minut, poczem obciął koniec korzenia na długości półtora milimetra i zasadził je znowu w położeniu pionowym. Po przeciągu 6-u do 9-u godzin, 12 korzeni się zgięło pod kątem prostym i to zawsze w tym kierunku, w którym byłyby się zgięły, gdyby je utrzymano w kierunku poziomym i pozostawiono pod wpływem geotropizmu. Zasadzając się na tych jak i na wielu innych doświadczeniach Darwin przechylił się na stronę rodaka naszego i jemu przeciwko Sachsowi

racyą przyznał. Zarazem uwytatniła się tu dziwna czułość końca korzenia, który, będąc tylko przez 1 godzinę i 37 minut pod wpływem geotropizmu zakomunikował siłę zgięcia się, wyżej będącym częścią korzenia i spowodował zginanie się jego nawet po zupełnym oddaleniu samego końca.

Dla tem większego przekonania się o tej czułości, Darwin wypalał żrącym ciałem koniec korzenia do długości 1 mm. i kładł roślinę poziomo. Z dziewiętnastu fasoli poddanych temu doświadczeniu, dwanaście zachowało swój kierunek poziomy (po 24-ch godzinach), 6 zgięło się bardzo słabo, a jedno silnie w kierunku geotropizmu. Wypalenie zatem końca korzenia zmniejszyło znakomicie czułość jego na siłę ciężkości.

Z powyższych doświadczeń przekonujemy się zatem, że siła ciężkości nie działa na całą roślinę lub cały jej korzeń, lecz tylko na sam koniec tego ostatniego, który przesyła własność wyginania się wyższym jego częścią. Jeżeli koniec ten obełtniemy, wypalimy ciałem żrącym, albo pokryjemy tłuszczem, to korzenie nie ulegają sile ciężkości dopóty, dopóki koniec ten nie odrośnie.

Ta nadzwyczajna czułość końca korzenia i ta własność przenoszenia wrażenia na wyżej położone jego części, przedstawia nadzwyczaj silną analogią roślin z niższymi zwierzętami. Roślina niema odpowiednio zbudowanego systemu i ośrołka nerwowego jak te ostatnie, ale kierunek korzenia, a zatem byt rośliny, zależy od czułości jego końca. Ma on własności omijania ciał twardych, odszukiwania ziemi pulchnej, wilgotnej, nade wszystko żywej i przedstawia niejako ten czynnik w roślinie, który u zwierząt niższej organizacji zwiemy instynktem. To też bez przesady powiedzieć można, że koniec korzenia w roślinie, pełni niejako te funkcje, które u niższych zwierząt mózg spełnia.

Sen roślin, jakkolwiek znany od czasów Pliniusza, a opisany dokładnie przez Linneusza, w sławnej rozprawie p. t.: „Somnus plantarum“, jako spowodowany ruchem roślin zasługuje w tem miejscu na wzmiankę. Snu tego porównywać nie możemy ze snem zwierząt, ma on bowiem w tych pierwszych zupełnie odrębne znaczenie, jak to wkrótce się dowiemy. Właściwie wspólną jest tylko nazwa. Niektóre rośliny mają tę właściwość, iż liście ich na noc się zwijają i zamykają; podnoszą się one wtedy albo ku górze, albo opadają ku dołowi, czasem obracają się naokoło swojej osi, albo też wykonywają inne więcej skomplikowane ruchy. Ruchy takie zaczynają się ku wieczorowi i są w ogóle dosyć gwałtowne, a pozycja jaką liście w rezultacie przybierają, jest taką, iż górna powierzchnia jest zasłonięta. Przychodzi to w ten sposób do skutku, że dwa liście przeciwległych stron z sobą się stykają, albo że się zwijają jak rolki papieru, albo też przylegają górną swoją powierzchnią do łodygi. Ruch ten powodowany jest albo przez napęcznienie komórek z jednej strony, albo przez nierównomierne rośnięcie z jednej i drugiej strony.

Przyczyną, dla której liście zawsze jedną t. j. górną swoją powierzchnią niejako chowają, jest to, iż takim sposobem unikają radytacyi i następującego skutkiem tego oziębienia. Dla przekonania się o tem, Darwin przypinał liście takich roślin bardzo cienkimi szpilkami do cienkich kawałków korka, które kijami podpierał i przeszkodził tym sposobem ich zwijaniu się; przekonał się, iż liście takie, ile razy temperatura w nocy była poniżej zera marzły, kiedy inne liście tejsamej rośliny, którym pozwolono ów ruch senny dokonać, ocalały. Płość rosy daleko była większa na liściach przypiętych na korkach, aniżeli na tych, które były przez ruch nocny ochronione; dowodzi to, iż pierwsze daleko były zimniejsze od ostatnich.

Możnaby przypuszczać, że liście usypiające dokonywają ruchów tylko wieczorem, kiedy się zamykają i rano, kiedy się roztwierają, ale to jest błędne. Liście takie wykonywają pewne ruchy tak we dnie jak w nocy bezustannie, ale ruchy te są wieczorem i rano najenergiczniejsze. Im roślina w przychylniejszych jest warunkach, tem energiczniejsze są te jej ruchy. Liść taki zakreśla ruchem swoim linią krzywą do elipsy podobną,

a czasem zakreśla w 24 godzinach aż 2 elipsy. Ponieważ zaś liście niespiących roślin także się poruszają, zakreślając jedną lub dwie elipsy na dobę, czyli wykonywając t. zw. cyrkumnutacje, więc Darwin przychodzi do przekonania, że zasypianie liści jest niczem innym jak tylko zmodyfikowaną cyrkumnutacją.

Przez Pfeffera jeszcze dowiedzione zostało, iż przyczyną, która powoduje zamykanie się i otwieranie liści, jest światło i ciemność.

Tak zwany błędnie sen dzienny jest niczem innym jak tylko pewną formą opisanego powyżej heliotropizmu.

Drugie dzieło Darwina, o którym na początku wspominałem, zawiera niemniej ważnych i po części nieznanych, albo mało przez naturalistów znanych faktów i traktuje o zwyczajach robaków ziemnych. Istotami temi stosunkowo mało dotychczas się zajmowano; Darwin przypuszcza że ich jest około ośmiu gatunków. Wszystkie są ziemne, chociaż mogą przebywać długi czas w wodzie. Woda słona jest dla nich zabójczą, jak się o tem przekonano, gdy po wylewie wody pod Rochester tysiące nieżywych robaków zalegały pola. Są one robakami nocnymi, a te które dają się widzieć w dzień na powierzchni ziemi, są według Darwina chore. W ogóle nie zakopują się one głęboko w ziemi, tylko wtenczas, kiedy jest bardzo zimno albo gorąco. Zmysły ich z wyjątkiem dotyku bardzo słabo są rozwinięte. Oczów wcale nie mają, niemniej jednak na światło są wrażliwe, bo nawet sztuczne światło skierowane ku ich głowie sprawia, iż natychmiast do jam swoich się chowają. Słuchu także nie mają, ale wibracje stałych przedmiotów nie są im obojętne. Gdy je w doniczce ustawiono na fortepianie i uderzano pojedyncze tony, starali się one schować. Zdaje się, iż ta właściwość służy im do rozpoznania zbliżającego się kreta lub innego zwierzęcia. Powonienie do pewnego stopnia mają, ale tylko względnie do przedmiotów mogących im za pożywienie służyć, gdyż okazywały się zupełnie obojętne, gdy w ich bliskości sok z fajki umieszczono, a kapustę, cebulę, którą niedaleko od ich jam zakopywano, natychmiast odkryły. Zmysłu smaku nie są w zupełności pozbawione, gdyż przekładają np. jeden gatunek kapusty nad drugi. Zmysł dotykania jest nadzwyczaj silnie rozwinięty.

Są one wszystkożerne i żywią się tak dobrze mięsem, tłuszczem jak liśmi i różnymi odpadkami roślinnymi; nie pogardzają też ścięciem zdechłych robaków. Nad ranem leżą w wielkiej ilości u samego wejścia do swoich jam, co sprawia ogromne ich tępienie przez ptaki.

(Dokończenie nastąpi)

Korrespondencja zagraniczna.

Peszt i Wiedeń w Listopadzie 1881 r.

Dzisiejszy Peszt. — Węgierska Wystawa Przemysłu Kobiecego. — Sezon w Wiedniu. — Sara Bernhardt a Modrzejewska. — Gallmayer i Sara. — Nowości sceniczne. — Laube w przekładach francuskich. — Nowości literackie. — Areyksiążka jako autorowie. — X. Nieder o *Królu Sobieskim*. — Wykłady: Reman, Stein (o Kobiatach). — Wernera *Kongres berliński*. — Wereszczagina *Wojna*. — Canon o tym rodzaju i wogóle o zadaniu sztuki.

(Dalszy ciąg).

Sara jest typową artystką dzisiejszego Teatru Francuzkiego, który najwięcej ma do czynienia z wszelkiego rodzaju słabościami kobiecymi i lubuje się w okazach zmiennej, ruchliwej, nerwowej, namiętnej, a płytkiej i zalotnej Francuzki, Paryżanki. Sara ma wszelkie warunki do odtwarzania takich postaci, ma temperament wschodni, żywy, a jest węża, nerwowa, jestto perpetuum mobile, chorobliwe, pełne niespodzianych fantazyj, właśnie jak postaci, które przedstawia, jak „Dama Kameliowa“, „Frou-frou“. Jestto nie kobieta, ale raczej *kobold* artystyczny, nadzwyczajnie zajmujący, zawsze świeży i prawdziwy, bo zawsze naturalny, może nawet czasem zanadto naturalny. Ona zawsze jest sobą, więc też tylko

te role może grać znakomicie, w których może być sobą. Innych ról nie zepsuje zapewne, ale nie jest zdolną oddać ich typowo, oryginalnie, skończenie; na to jej siły nie wystarczają, nie jestto zgodne z jej temperamentem. Lecz gdy jest w swoim żywiole, to niema sobie równej, a talent i temperament posługują się wtedy dwoma warunkami, dwoma darami: oczy głębokie, niebieskie, głos, jak cudowna muzyka, miękki, a pełny, słodki a zdolny do tonów surowych, suchych; można nie patrzeć, nie rozumieć, tylko słuchać, jak prawdziwej muzyki. Oczywiście, że role jej właściwe wymagają toalet, boć postaci, które ona przedstawia, są to te, które tworzą modę dla całego świata. Więc wystawa toalet, jej własna moda, to jeden więcej powab dla publiczności. Otoż, wszystko razem wzięwszy, jest skala jej talentu bardzo małą, ale w tych ramach jest ona znakomitą, doskonałą, nawskroś oryginalną. Jestto więc okaz artystyczny zupełnie odmiennej natury niż Modrzejewska, porównywać ich zatem nie można, ale trzeba stwierdzić i uznać tę odmienną i różnicę. Modrzejewska ma piękność, wdzięk, urok kobiecy, i już przez to ma skalę talentu nierównie rozleglejszą. Nadto, lubo Sara poczwórnie wzbudza zajęcie, gdyż jest aktorką, autorką, malarką, rzeźbiarką, lecz w tem wszystkim działają więcej nerwy, temperament, fantazyja, niż to, co my nazywamy duszą; jest u niej szal i dowcip, ale niema głębi i myśli, jest wrażliwość i drażliwość, ale niema serca, instynktu wiele, inteligencji wmiarę. Modrzejewska niektórych postaci paryżkich nie odtworzy wprawdzie tak typowo, jak Sara, która może sama być ich wzorem, ale ta różnica, ta niższość, choć się nie podoba Francuzowi — zarzutów estetyka na siebie nie ściągnie. Ale zato poza temi kilku postaciami są całe światy niedostępne dla Sary, nad którymi Modrzejewska panuje, mianowicie: role konwersacyjne, salonowe w wyższej komedii Fredry, w dramatach Shakespeare'a i Schillera — Julia, Marya Stuart, role klasycznego dramatu, o które Sara napróżno się kusi. W Peszcie nawet jej właściwe popisy przyjęła krytyka z przekąsem, a jej Fedrę odsądzono tam zupełnie od nagrody. Publiczność jednak i w Wiedniu i w Peszcie, poczęści pod wpływem kolosalnej reklamy, szalała za Sarą; o bilety boje staczano. Ztąd więc wniosek, że i powodzenie Modrzejewskiej w Londynie i w Ameryce musiało być równie wielkiem, a tutaj byłoby jeszcze większem. Oile Sara jak meteor porywała, o tyle Modrzejewska czarowałaaby urokiem i sztuką mniej paryżką, ale bodaj szlachetniejszą. A niemałym powodzenia warunkiem byłaby i różnaitość w zasobie ról, bo nareszcie publiczność ma już po uszy ciągle tychsamyh chorobliwych zjawisk.

Jeszcze jedno: Sara jest patryotką, nienawidzi Prusaków, nigdy w Niemczech nie wystąpi; o Modrzejewskiej napisał sędziwy Longfellow, że na wspomnienie rodzinnego kraju łyzy ma w oczach...

Francuzi uważają Sarę za swoją chlubę; więc wszędzie konsulowie i ambasadorowie francuzcy składają jej hołdy i torują jej drogę, chcą wzbudzić dla niej zajęcie w całej arystokracji miejscowej, która sama przez się lgnie do wszystkiego, co paryżkie. Węgrzy nie zaniebują żadnej sposobności, żeby się okazać Europejczykami; więc też konwojowali ją od Wiednia do Pesztu, wyprawiali bankiety. Nie wątpię, że Modrzejewską, Polkę, na rękach-by nosili pod baldachimem do dołmanów.

Taką jest ludność wiedeńska. Próbkę tego daje fakt, że zaledwo Sara Bernhardt odejechała, wszystko, co żyje, tłoczy się i przepłaca bilety do Carltheatru, gdzie Gallmayer przedstawia karykaturę Sary, jej głos, jej ruchy ostre, jej omdlewanie i wyciąganie rąk, żeby się zawsze na czemś oprzeć i t. d. Bawi się tem Wiedeń przepysane, a w Styczniu znowu się będzie tłoczył na Sarę. Powiadają, że może być z tego dumnym... minister finansów, Dunajewski, pokazuje się bowiem, że za jego rządów tak się interessa poprawiły, taki jest ruch, zarobek, obfitość pieniędzy, iż sobie znowu ludzie w Wiedniu na rozrywki i zbytki żałować nie potrzebują.

Dla wszystkich wogóle teatrów sezon jest pomyslny — a pojawiły się i nowe, oryginalne sztuki. Oczywiście, nie o wszystkich warto wspominać. *Jan Erdmann Wilbrandt'a* jest tematem pożyczo-

nym z Francji o skutkach niewierności żony. Ale przeniesionym do Niemiec w towarzystwo filantropów, pedantów uczonych i t. p. Ale, że to Wilbrandt, obecnie dyrektor teatru cesarskiego, że są role dobre: więc jakotako się sztuka utrzymuje. *Compagnon* (Wspólnik) L'Arronge'a dla odmiany, nie teściową, ale teścia, obrabia; wcale wesoły, czasem rzewny; główna wartość w kolorycie i prawdzie wielu postaci komicznych. *Nora*, norweckiego poety Ibsena, jest żywcem w stosunki północne przeniesioną komedią francuską, ale z dramatycznym zakończeniem, a obróbenie surowe, lubo znać talent. Sztuka upadła. Moser przeobraził jakąś rossyjską komedią Alexandrowa *Niewolnik*, której nie widziałem, ale upewniają, że nie zła i zupełnie niemiecka. W operze, oprócz klasycznych rzeczy, nowy balet *Pigmalion*, scenerya i muzyka ks. Trubeckoj — w dzień zaduszny tradycyjnie w kilku teatrach *Młynarz i jego córka*. Wznowione *Wesele Figara* w Ringtheater niebardzo się powiodło. Główną spiżarnią są przekłady, zwłaszcza francuzkich komedij, nawet w teatrze cesarskim, lubo tam i klasyczny repertuar widowisk dostarcza. Co do zalewu teatrów przekładami, nie będzie i dla naszych stosunków bez znaczenia, co o tem pisał Laube. Między 1840 a 50 r. urządził sobie w Paryżu Boernstein fabrykę przekładów, które teatru niemieckie od niego nabywać zaczęły. Laube zgromił go za to zgóry w dziennikach i w odpowiedzi na obronę napisał do niego list, w którym powiada: „Jestem tego zdania, że pan niemieckim autorom i scenie niemieckiej bardzo szkodzi. Masz z tego zyski: darmo-bym pana wzywał do patriotycznej rezygnacyi. Nie jestem ja wrogiem Francuzów, ale przecież jestem Niemcem; przewagę techniki i wykonanie lekkich sztuk francuzkich, lubo ze złością, uznaję, nawet sądzę, że może być pożytecznym czasem, jakąś ich najlepszą sztukę dla naszej sceny prze-

robić, dla odświeżenia wrażeń. Ale tłumaczenie *en masse*, zalewanie sztukami, urosłemi w zupełnie innych sferach narodowych, *psuje* nasze sceny i naszą publiczność i utrudnia postęp naszych dramaturgów. Pan zabierasz im miejsce i możność kształcenia się przez praktykę. Jest to oburzające. W podobny sposób protestowały całe „Młode Niemcy: ale potem sam Laube żywił teatru swojemi głównie przekładami. List ten pojawił się w *Pamiętnikach Boernsteina*.

Lepszy plon jest na literackiej niwie. *Klaudyse Ecksteina* należą do seryi ulubionych powieści z czasów Cesarstwa Rzymskiego, prześladowania Chrześcijan. Utwory Ebersa z dziejów egipskich bardzo są również wzięte. Mają one wielką wartość kształcącą. Literaturę podróżniczą wzbogacili dwaj arcyksiążęta cennymi dziełami. Następca tronu ogłosił *Podróż po wschodzie* (Orientreise); arcyksiążę Salwator: *Naokoło świata wbrew woli i Bizerta* (miasto w Afryce) *i jej przyszłość*. Liczne ustępy przedrukowały dzienniki. Opisy te są pełne zajmujących szczegółów, pisane wprawnie, a jedno jest przytem pewnem, że nie podają ani jednej nieprawdziwej, niesprawdzonej wiadomości.

Zbliżająca się (w 1883 roku) rocznica odsieczy Wiednia przez Sobieskiego, która będzie uroczyscie i głośno obchodzoną, przyniosła już jedną publikacyą. Xiądz Nieder, proboszcz na Rennweg, wydał gruby tom pod tytułem: *Król Jan Sobieski w Wiedniu*, oraz wspomnienie o siedmiu królowych polskich z domu austriackiego. Dzieło jest pracowicie, choć nie naukowo, napisane, podaje wiele dokumentów, autor ma pełne uznanie dla krzyżowego charakteru wyprawy i zasług króla Jana; książka sympatyczna i wiele na dobre. Byłoby bardzo pożądanem, żeby się zajęto wydaniem *polniemiecku* popularnego ale dokładnego i bardzo taniego dziełka o zasługach króla Jana wobec Wiednia i Austrii. Książeczkę taką w tysiącach

exemplarzy rozpowszechnić-by należało. Ludność tutejsza ledwo że jakieś ma o tem wiadomości, przeważnie mylne.

Do literatury również zaliczyć potrzeba wykłady, których tu codzień kilka się odbywa. Wszelkie upodobanie i wszelki zawód, znajdują dla siebie odpowiedni przedmiot, a jest to zasługą przelicznych towarzystw. Znany nam dobrze Dr Reman miewa tu wykłady w Towarzystwie Geograficznem o „Transwalu“. Dodam, że jest jakoby już przeznaczony na profesora geografii w Uniwersytecie Lwowskim, a tutaj odbywa jeszcze poważne studia.

(Dokończenie nastąpi).

W Redakcyi złożyli:—Dla Skarbka Malczewskiego.

WW. M. Herdin rs. 1; S. Herdin rs. 1; B. Durso rs. 1; S. Ruśkiewicz kop. 15; J. Wysocki kop. 30; A. R. kop. 30; W. Herdinowi rs. 1 kop. 30; H. Herdin rs. 1; S. Adamkiewicz kop. 30; K. Pączkiewicz kop. 20; W. Barański kop. 20; T. Helzman kop. 15; Sikorski kop. 10; Dr Kosicki rs. 1; M. Herdinowa kop. 50; NN. kop. 50; NN. kop. 30; Tekla B. kop. 30; Helena W. kop. 30; N. kop. 10.

Na pomnik Mickiewicza:

WW. K. D. rs. 1; Daniewski kop. 15.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści pod tyt.: **Marek**; oraz dalszy ciąg powieści pod tyt.: **Warto się namyśleć**.

OD WYDAWCY.

Pismo niniejsze wychodzić będzie w przyszłym roku pod dotychczasową Redakcyą i na dotychczasowych warunkach.

Prenumerata wynosi:

W Warszawie:		Za dodanie dwa razy na miesiąc mód kolorowanych	Za dodanie co tydzień Mody kolorowanej, oraz co miesiąc zefiru
Miesięcznie	kop. 60	<i>dołtaca się w Warszawie:</i>	<i>dołtaca się w Warszawie:</i>
Kwartalnie	Rs. 1 kop. 80	Miesięcznie kop. 15 czyli liczy się	Miesięcznie kop. 40 czyli liczy się
		Kwartalnie kop. 45	Kwartalnie rs. 1 kop. 20
<i>Na prowincyi i w Cesarstwie:</i>		<i>Na prowincyi i w Cesarstwie:</i>	<i>Na prowincyi i w Cesarstwie:</i>
Kwartalnie	Rs. 2 kop. 50	Kwartalnie kop. 50 czyli liczy się	Kwartalnie rs. 1 kop. 50 czyli liczy się
Półrocznie	Rs. 5	Półrocznie rs. 1	Półrocznie rs. 3
Rocznie	Rs. 10.	Rocznie rs. 2	Rocznie rs. 6

Nadmienić mi wypada, że najlepiej będzie dla Prenumeratorów na prowincyi zamieszkałych wprost od siebie do Redakcyi nadesłać prenumeratę, wraz z dokładnym i wyraźnie napisanym adresem. Prenumeratorów z prowincyi i Cesarstwa upraszam również, aby żądania swoje raczyli adressować „do Redakcyi Bluszczu Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).”

Wczesne wyprawienie pierwszych, regularne odsyłanie dalszych numerów „Bluszczu“, zależy głównie od zastosowania się pod względem przesłania prenumeraty do powyższego ogłoszenia.

MICHAŁ GLÜCKSBURG

Księgarz-Wydawca.

TREŚĆ. Książki dla dzieci i młodzieży. — Przeklęty dworek, nowella, (dalszy ciąg), przez Bolesławicza. — Marya Gentili Montalti, (dalszy ciąg). — Obowiązek, streszczenie ze Smiles'a, (dalszy ciąg), przez M. I. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Z działu przyrody, (dalszy ciąg), przez Dra Gustawa Fritsche. — Korrespondencya zagraniczna, Wiedeń i Peszt, (dalszy ciąg).

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Декабря 1881 года.